1. marca. Nr. 1. Rok 1860.

CZYTELNIA
dla młodzieży.

Wychodzi we Lwowie każdego 1, 11, i 21. Bióro redakcji przy ulicy Frenela Nr. 114. — Prenumeratę miejscową przyjmuje księgarnia K. Jabłońskiego. — Reklamy wolne są od opłaty.

Cena prenumeraty: w miejscu rocznie 4 zł., półrocznie 2 zł., ćwierćrocznie 1 zł. — Z przesyłką pocztową rocznie 4 zł. 40 cnt., półrocznie 2 zł. 20 cnt., ćwierćrocznie 1 zł. 10 cnt. wal. austr.

Sama już nazwa określa poniekąd cel tego pisma, którego potrzeba coraz bardziej czuć się u nas daje. Młodzież bowiem, na której cała nadzieja przyszłości zależy, nie ma pisma, któreby głównie dla niej było przeznaczone, a jej potrzeby mając na względzie było ogniskiem tego, co ją w szlachetnych chęciach ukrzepiać i do rozwinięcia zupełnego zdolności w moralnym, narodowym kierunku pomagać mogło.

Do niej to więc w piśmie tem odzywać się będziemy serdecznem słowem przyjaciela, i pragniemy całem sercem pozyskać jej zaufanie i miłość. Chcielibyśmy, aby młodzież płci obojej znalazła w **Czytelni** w przystępnej formie wszystko to, co potrzebnem jest do jej wykształcenia w duchu narodowym. W szeregu historycznych opowiadań i powieści, umyślnie dla pisma tego napisanych, będziemy się starali przedstawić w prawdziwem świetle przeszłość narodu — w biografjach i rozprawkach literackich obznajamiać z historją naszego piśmiennictwa. W ten sposób **Czytelnia** może się stać silną popleczniczką narodowego wychowania. — Pragnęlibyśmy zarazem, aby pismo to stało się organem dla młodych, mających powołanie do wystąpienia na polu piśmiennictwa i zdolności do służenia ojczyźnie w zawodzie literackim.

Nie myślimy, że ubliżym w czemkolwiek któremu z wychodzących pism, które mają zasługi zkądinąd, jeśli powiemy, że żadne z nich nie jest takie, iżby je młodzież obojej płci niejako za przewodnika swego obrać i z pożytkiem czytać mogła. Wypływa to po części już z tego, że pisma owe mają na względzie ogół publiczności, ludzi wszelkiego wieku, my zaś przedewszystkiem młodzież będziemy mieli na względzie, a w tym kierunku działając spodziewamy się u wszelkich innych czytelników znaleść wyrozumiałość i przychylne przyjęcie.

Umieszczać będziemy: Opowiadania z dziejów ojczystych, rozprawki językowe i z nauk przyrodniczych, utwory poetyckie, powieści historyczne i spółczesne, sprawozdania z literatury bieżącej.

Pochlebiamy sobie, że utworzeniem tego pisma pojęliśmy choć w części wymagania czasu i dążności młodzieży, i mamy nadzieję, że głos nasz nie na próżno podnosimy, że chęci nasze za dobre uznane będą i zjednają sobie współczucie każdego prawego i pomoc każdego światłego człowieka.

Najznakomitsi pisarze nasi przyrzekli nam czynną pomoc.

Z dobrą wolą i w imię Boże rozpoczynamy zamierzone dzieło — od udziału publiczności zależy reszta.

List J. I. Kraszewskiego
do redaktora Czytelni.

Po staremu zaczynacie w imię Boże, życzę więc szczęścia i powodzenia w dziele tak ważnem i poczciwą myślą natchnionem: ufam, że w progu krzyż Pański położywszy, — jak dawniej bywało — wszystko pójdzie dobrze. Chciałeś pan bym mu przysłał kilka słów wstępnych do jego pisma, czuję, jaką mu zato winien jestem wdzięczność, ale cóż powiem z daleka do czytelników jego?

„Oto dla was książka wstępna do życia i do nauki, którą myśląc o was pisać będą wybrani ludzie z troskliwością rodzicielską; bo któż z was młodzieży nasza wszelkiego stanu nie syn tej ziemi, którą kochamy wszyscy miłością jedną? Przyjmijcie ten dar pracy i karmcie się zdrową żywnością na waszych zagonach wyrosłą.

Na was spoczywa przyszłość cała, koło młodych głów waszych wszystkie ulatują nadzieje, wy grzechy nasze winniście poprawić, z naszych nawet uczyć się błędów, a to cośmy dobrego przechowali z przeszłości, cośmy zarobili sami, oddać wam chcemy w spuściźnie. Dlatego by ten związek święty wczoraj i jutra nie został zerwany, odzywamy się do was i mówić chcemy, kochana młodzieży nasza! Myśmy już spełnili, jak podołać mogliśmy, to, co czas włożył na barki nasze; wam teraz krzepić się potrzeba aby resztę podźwignąć, aby cierpieniom podołać, aby na błogosławieństwo Boże zasłużyć. Do pracy, do wiary silnej, do wytrwania w dobrem, których przykładów daleko wam szukać nie potrzeba, wzywamy was; i aby je wam ułatwić, umyślnie ludzie serca składają się na to pismo, które za przewodnika w początkowej drodze życia ma wam posłużyć.

Nie wszystko jest w książce, wiele w doświadczeniu żywota, wiele w żywem słowie i troskach życia, ale przez te harty myśl bieży z daleka, wiążą się ludzie i świat skupia miłością i nauką. Bez nauki i ukształcenia człowiek bezsilny, bez pracy największy genjusz marnieje, bez wiadomości dróg najpoczciwszy pobłądzić może.

U obcych szukać rozumu nie koniecznie nam potrzeba — wieleć i tam rzeczy dobrych zapewne, ale **nasza** karm nam lepiej przystała, **nasze** słowo prościej idzie do serca, **nasz** język lepiej nas uczy, a w **swojej** mowie jest duch, co z każdym wyrazem ziarneczko święte przynosi..... Lepiej więc i czytać swoje i od swoich się uczyć, niż w cudzych księgach, które obojętność dla kraju lub też wzgardę dla tego co nasze zaszczepić mogą — a oboje grzechem są ciężkim.

Z książki tej dla was przeznaczonej, w kraju wychodzącej, i obcych rzeczy dowiedzieć się będziecie mogli, a nasza mowa lepiej wam przystanie i troskliwiej nad wami czuwać będzie. — Obca jest piastunką najemną, a swoja matką rodzoną.

Oto otwarte karty, rozpoczęte dzieło — niech mu Bóg szczęści, dla dobra powszechnego, dla przyszłości...

Takbym przemówił szanowny panie, lecz i ty również myślą tąż samą, wyrazy takiemiż odezwiesz się zapewne do młodych czytelników swoich... słowo moje nic ci prócz szczerego życzenia powodzeń nie przyniesie.

Przyjm wyraz szacunku i t. d.

J. I. Kraszewski.

Żytomierz dnia 22. stycznia 1860.

Lecz gdy mistrz arfę odłożył, któż ją podejmie i poruszy jej stróny? Chęci i dążności nasze zlały się w słowie mistrza, który je wypowiedział narodowi — nasz głos byłby tylko słabem jego echem.

GODŁO ŻYCIA.

Wiernie stanąć u przeszłości —
Jak krew ze krwi, jak kość z kości,
I sumiennie poczcić dzieje,
A w świat przyszły siać miłości,
Ziarna wiary i nadzieje;
Ziemię z niebem związać spolem —
Serce z Bogiem — myśl z narodem;
Słowem, wzorem iść mu przodem,
I przymierza opleść kołem —
Nie poranić, nie podwoić,
Lecz miłością bole koić:
Pracą ducha uszlachetnić,
I uwiecznić i uświetnić —
To zadanie zacnej młodzi:
I ojczyźnie to się godzi.
To zadanie sztuki, śpiewu,
Mężów prawdy i posiewu
Dobrego w ojczyźnie.

Wincenty Pol.

O badaniach filologicznych
na polu języka starosłowiańskiego

przez

Antoniego Małeckiego.

Podczas kiedy po wszystkich oświeceńszych krajach słowiańskich język starosłowiański od pół wieku staje się coraz więcej najwalniejszem zadaniem i przedmiotem pracy uczonych — podczas kiedy ogłoszone w roku 1856 rozporządzenie W. Ministerjum Oświecenia żąda znajomości tego języka od każdego nawet nauczyciela gimnazjalnego, jeżeli tenże ma uczyć jakiegokolwiek narzecza słowiańskiego po szkołach: — pomimo tego cała ta sprawa w piśmiennictwie naszem bywa uwzględniana nader rzadko, a raczej tylko wyjątkowo.

Falszemby wprawdzie było, gdybym twierdził, że nie ma między Polakami uczonych, którzyby bacznem nie spoglądali okiem na postępy i owoce badań Szafarzyka, Miklosicza i innych onym podobnych. Przykłady takie są wszakże w każdym razie tylko pojedyńcze. Ogół wykształconych o to nie pyta. Dziwić się też nie można, że wielkiej części światlejszych nawet rodaków naszych wątpliwem się wydaje, czy może być jakiej dla Polaka ważności znajomość tego języka, i czy może być jaki związek między tem dawnem narzeczem a językiem polskim, którego literatura i gramatyczna dojrzałość zdaje się nie potrzebować takiego z zewnątrz zasiłku.

Jakiż więc będzie pożytek, zapytuje niejeden, z łączenia polszczyzny w kwestji filologicznej z narzeczem starosłowiańskiem? Zdaje mi się, że na zapytanie podobne na próżnobyśmy szukali dostatecznej odpowiedzi po książkach lub też czasopismach polskich. Że zaś nieznajomość ruchu literackiego w innych krajach słowiańskich, a mówmy szczerze, ignorowanie jego niemal umyślne pożytku oświacie ojczystej nie przynosi — przekonany tedy jestem, że czynię zadość prawdziwej potrzebie, jeżeli się w chwili obecnej pokrótce zastanowię nad następującemi dwoma punktami: w jakim stosunku zostaje język polski do tak zwanego starosłowiańskiego narzecza? i jakie pożytki może naukowość nasza odnieść z badań nad tym przedmiotem?

Względem ostatniego pytania wypowiem od razu aby uniknąć wszelkich nieporozumień, że korzyści ztąd spodziewane będą i mogą być jedynie teorycznej natury. Badania nad językiem starosłowiańskim przyczynią się do wyjaśnienia naszej gramatyki. Rzucą wielkie światło na historję języka polskiego. Słowem, dadzą podwalinę do rozpoczęcia prawdziwie umiejętnej filologji polskiej. Natomiast na tok myśli narodowej, na kierunek literatury naszej, na wykształcenie że tak powiem materjalne polszczyzny wpłynąć one nie potrafią.

Dzieje narzecza starosłowiańskiego oddawna są zamknięte. Jego żywotność zgasła od dawna. Jego starożytne

pomniki wprawdzie nader liczne, choć z nich dotąd nie wiele drukiem publikowanych, zapełniają szczupły tylko zakres obszarów literatury, o jakich *my* dzisiaj mamy wyobrażenie. Odnoszą się tylko do potrzeb kultu i kościoła i są niemal wszystkie tylko przekładami z oryginałów greckich. Samo więc z siebie wynika, że wpływu praktycznego, jakiegoby się może nie jeden spodziewał, albo obawiał, ta przeważnie tłómaczona, liturgiczna i tylko religijna literatura starosłowiańska na naszą dzisiaj wywrzeć nie potrafi.

Jeżeli jednakowoż nikomu, kto swój język miłuje, obojętną być nie może, ażeby ta praojców jego spuścizna była zbadaną, wyjaśnioną — w ustroju, bogactwie i swobodzie swojej rozumiana tak przez swoich jak przez obcych, i żeby przestała uchodzić za bezmyślny aglomerat wyjątków i nieregularności, co jak rokosz krnąbrnych żywiołów wleką się taborem za każdą niemal regułą gramatyczną: — to i po powyższem zastrzeżeniu przywiążemy jeszcze wielkie znaczenie do studjów nad rzeczonem narzeczem, jako do *jedynego* środka, za pomocą którego dokonana być może rozumna, zasadnicza i zaspokajająca wymagania dzisiejszych czasów gramatyka polska. *)

Może się komu to ostatnie twierdzenie wydaje zbyt śmiałem lub przesadzonem. Rzućmyż okiem na długi szereg prac gramatycznych w dotychczasowej naszej literaturze i na ich powodzenie, ażeby się przekonać, czy się rzeczy mają inaczej.

Pierwszą gramatykę polską, jak wiadomo, napisał i wydał *Onufry Kopczyński.* — Pojawiałyć się wprawdzie i w dawniejszych już czasach praktyczne i elementarne gramatyki języka polskiego (Lehrmeister der polnischen Sprache, *grammatices polonicae constitutiones*), jak n. p. książka pod takim tytułem w XVI. jeszcze wieku wydana *Statoriusa*, w XVII. *Mesgniena* i t. p. Podobne próby wszelako, jako prace cudzoziemców dla cudzoziemców, przy celu swoim czysto praktycznym, względną chyba tylko mieć mogą ważność.

Pierwszy gruntownie przemyślany system teorji ojczystego języka otrzymał naród nasz dopiero z rąk Kopczyńskiego. Było to r. 1778, a zatem właśnie 82 lat temu. Od tego czasu, jakby chciano wynagrodzić to tak długie zaleganie prac na tem polu, rzucono się z całym zapałem do badań nad gramatyką polską. Przez ciąg ostatnich tych lat 80ciu pojawiały się i pojawiają ciągle coraz nowe onej systemata.

(C. d. n.)

*) Miło nam donieść, że uczony autor tego artykułu, — którego właściwym gruntem jest głębokie znawstwo filologji starożytnej, pracuje obecnie nad ułożeniem gramatyki polskiej. Z tego tedy szczególnie stanowiska polecamy czytelnikom naszym niniejsze uwagi, aby łatwiej było ocenić punkt wyjścia autora w pracy, którą obecnie jest zajęty.

P. R.

USTĘP

z niedrukowanego poematu

Wincentego Pola

„S T R Y J A N K A".

Wielbiony i kochany wieszcz nasz po dłuższem milczeniu wygotował do druku pomiędzy innemi mnogiemi pracami poemat obszerny, dawniej już rozpoczęty a obecnie wykończony, pod tytułem S t r y j a n k a, i pozwolił nam korzystać z rękopisu. Sąd ostateczny o pracy autora zostawiamy publiczności, która zapewnie z upragnieniem oczekuje ogłoszenia drukiem prac świeżych śpiewaka Mohorta, a tymczasem przytaczamy zdanie nie nasze, lecz człowieka znakomitego, który się w liście swoim tak o tym poemacie wyraża:

. . . . . „Prawdziwa monografja karmazynowego szlachcica, który tak kochał skrzypeczki, jak różaniec, sąsiadów, herb i rzeczpospolitę — a dlaczego je tak kochał? — prosta odpowiedź — bo bez nich żyć nie mógł! — Cudne też są obrazki tego szlacheckiego zamiłowania, a oddane z taką prawdą, sercem i miłością, że czytając, ledwiebyś za każdą kartą nie powtarzał: „Jakbym tam był i widział!" — A skończywszy, owionie cię jakaś tęsknota, czy za wiekiem który się nie powtórzy, czy za czemś jeszcze, czego nie odgadniesz! . . . ."

I rzeczywiście, tyle tam prześlicznych obrazów, tak piękne charaktery, zacne, poważne, a prawdziwie polskie, że czytając trudno się od nich oderwać, tak się sercem do nich przylgnie i ukocha.

Wyjmujemy z poematu tego ustęp, który zdaje się nam najodpowiedniejszy do dziennika naszego.

Była zacna rodzina Bączalskich, których potomek pan Stanisław. . . . .

„Pieczętował Gozdawą, cześnikiem się pisał."
. . . .
„Przed wiekami — jak słychać — bywał to ród liczny,
„A i bardzo pokrewny, i bardzo dziedziczny:
„Ale któraś tam z babek wyrzekła niebacznie
„Gdy jej wnuki w modlitwie bardzo dokuczyli:
„B o g d a j s i ę p o j e d n e m u t a c y j u ż r o d z i l i!..
I do roku ubyło dzieci bardzo znacznie —
A gdy wszystkie przeżyła i dzieci i wnuki,
Ostatniemu z Bączalskich rzekła dla nauki:
„Jeśli pan Bóg w swej łasce sądy ma odmienić,
To z ubogą sierotą wam się tylko żenić,
Bo sierota uprosi znowu łaskę Boga,
Wypłacze i wymodli może jeszcze syna —
I zachowa się jeszcze choć w jednym rodzina,
I może choć jednemu Bóg pobłogosławi
Jeśli święty Stanisław za nami się wstawi;
A co swoja zgrzeszyła, sierota naprawi...."

Prześliczny to ustęp — lecz nie możemy przypuścić, by to było czystą inwencją poetycką. Bije tu myśl głęboka i szczytna, pełna znaczenia i wagi, i zdaje się nam ona być opartą na podstawie prawdziwej, jakiejś tradycji rodowej, którą poeta zapewne zasłyszał, i zebrawszy w jedno pojedyncze atomy, ułożył z niej całość, oblekł w szatę poezji i zrobił ją widzialną naszemu oku.

Umiera babka Bączalskich i na łożu śmiertelnem odwołuje na głowę wnuków rzuconą klątwę —

I na naszym cześniku, panu Stanisławie,
Pokolenie już siódme dochodziło prawie
Od niebacznych słów babki, rzeczonych w złej chwili:
„Bogdaj się po jednemu tacy już rodzili!“
Lecz miała szlachta swoje sacra et arcana:
Że od onych słów babki poszło już poszpotem
Rodowi na tym świecie — dobrze znano o tem,
Ale była od babki także rada dana,
Którą każdy Bączalski w sercu tylko chował,
I za którą w żywota drodze się kierował.
Gdy przyjęła wijatyk na łożu śmiertelnem,
Doznała niepojętej na sercu pociechy,
I rzekła: — tak się czułam w wianeczku weselnym
I czuję, że Bóg wielki przebaczył mi grzechy,
Ostatniemu więc z rodu daję te pociechy:
„Trzy łaski w życiu każdy uprosić tam może,
Jeśli żywot w pokorze zda na sądy Boże:
— Gdy pierwsza boleść w życiu dotknie serce młode
Panu Bogu ofiaruj stratę czy przygodę
I proś o miłość ludzką —
A Bóg cię pocieszy
I bliźni z dobrą wolą w pomoc ci pospieszy.
— Gdy serce nie zajęte, stanie przecież z troską
Jaki los je tam czeka? to w modlitwie żywej
Nie proś o serce wierne i o los szczęśliwy,
Lecz dla siebie i domu
Proś o bojaźń boską.
— Po raz trzeci jest wolno prośbę tam zanosić
Nim ksiądz stułą zawiąże —
lecz nie trzeba prosić
Boga wówczas o miłość — o włości i cugi,
Ale proś o pokorę i o dobre sługi.“

Taki wzięli testament po babce Bączalscy,
Zanim jeszcze w ich żywot wplątali się Skalscy;
I każdy kiedy matkę w grobie ojców składał,
Prosił o miłość ludzką we łzach po spowiedzi,
I kochali Bączalskich od wieka sąsiedzi.
A kiedy w pustym zamku trapiła tęsknota,
Wówczas nieba prosili
O tę bojaźń Boga,
I wesołość wracała — uboga sierota —
I szczęście — wierna żona — do starego proga,
A jeśli dom nie słynął bogactwy i cugi
Znano o tem, że w domu miano dobre sługi:
Bo każdy o to prosił opatrzności Boskiej,
Kończąc śluby tęsknoty i rodowe troski.

Tak w końcu na cześniku panu Stanisławie,
Dochodziło już siódme pokolenie prawie
Od niebacznych słów babki, rzeczonych w złej chwili:
„Bogdaj się po jednemu tacy już rodzili!“
I pytali sąsiedzi:
„Cóż będzie cześniku!
Wszak stoimy podobno na piątym krzyżyku?
A pan cześnik na skrzypkach zagrywał tęsknoty:
„Wszakżem chciał wziąść sierotę — nie dano sieroty.....“
Pono wszystko przepadło i już nie na dobie,
Wezmę ja skrzypki
Z zielonej lipki
I zagram sobie.....!
Tak pan cześnik za zwyczaj dobrych ludzi zbywał
I przygrywał do tańca i piosneczki śpiewał.

O znaczeniu nauk przyrodniczych.

przez

Hipolita Witowskiego.

Niechaj, kogo wiek pomroczy,
Chyląc ku ziemi poradlone czoło,
Takie widzi świata koło,
Jakie tępemi zakreśla oczy.

Młodości! — ty nad poziomy
Wylatuj, i okiem słońca,
Ludzkości całe ogromy
Przenikaj od końca do końca! —

W przedmowie mojej do Geologji 1858 r. wydanej napomknąłem o znaczeniu nauk przyrodniczych w ogóle, a w szczególności Geologii. Dziś gdy *Czytelnia dla młodzieży* nastręcza mi sposobność, wyłuszczę myśl moję, a tem samem wystąpi na jasno i cel, w jakim ją podniosłem.

Duch i materja stanowią życie w powszechności; bo jak duch i myśl boża objawiają się w odwiecznych prawach, tak z drugiej strony natura stworzona jest realną pracownią, w której owe prawa i porządek urzeczywistniają myśl bytu.

Jeszcze nie rozkwitły w naszym kraju nauki przyrodnicze; a chociaż w szkole i w domu nie całkiem je zaniedbano, nie uznano jednak ich donośności w oświacie i kulturze narodowej. Jedni je lekceważą, przysądzając im tylko podrzędną rolę w dziedzinie wiedzy; inni upatrują w ich rozwoju dążenie do kosmopolityzmu i materjalizmu. Nie podzielamy tego zdania, i twierdzimy, że nauki przyrodnicze nie tylko nie zwichną narodowej oświaty, ale co większa, zbliżą człowieka do natury i wskażą mu *rzeczywistość duchową*, t. j. harmonję życia w obec Boga, narodu, ze sobą samym i z przyrodą. Pragniemy więc okazać płonność obawy przed owemi obcemi upiorami materjalizmu i kosmopolityzmu.

Natura — ogół wszech rzeczy stworzonych — jest pojawem wszechmocy, mądrości i dobroci stwórcy. Wszechmocy — bo wszystko jest najdoskonalsze i na skinienie jego woli; mądrości — bo wytknięte są niezmienne prawa i środki prowadzące do jednego celu; dobroci — bo uzdolnieni jesteśmy do doskonalenia się i wzajemnego uszczęśliwiania odpowiednio przeznaczeniu naszemu, które spełnimy, żyjąc według najświętszej Jego woli, objawionej w naturze.

Śliczną jest natura kraju naszego! Kraju — gdzie godłem pług, a naród rolnikiem. Tu strzecha i dwór sielski są widownią szlachetnej pracy, nawet w trudach ponętnej; tu natura z łaski opatrzności bogatą jest we wszystko co wpływa tak zbawiennie na harmonję naszych obyczajów i zwyczajów, na nasze życie narodowe; co rozbudza miłość dla kraju, uwieczniona w dziejach i nam przekazaną; — miłość, która nawet wśród zamętu i parcia obcorodnych żywiołów, uwydatnia i utrwala czysto plemienny charakter. Znamy nasze dzieje. Są one świetne; bo też świetną była nasza przeszłość. Szanujemy

każdą piędź kraju naszego, bo niemal każda jest świadkiem wydarzeń dla nas tak ważnych i pamiętnych. Sięgamy w owe minione czasy, uobecniamy je żywo i oceniamy najserdeczniej. Jest to żyjąca poezja nasza, wzniosła duchowa potęga naszej narodowości. Ojczystych dziejów treść brzmi melodyjnym dźwiękiem jakby lutnia Orfeusza, której harmonijne akordy żyją wiecznem tchnieniem narodu.

Bieżące stulecie, które miało i ma swoich wielkich, narodowych mistrzów w zawodzie historji, poezji, literatury, filozofji i t. d., nadało naszej oświacie humanitarną cechę, i w takim też rozwija się ona kierunku. Tak być musiało: bo wewnętrzny rozwój pod wpływem zewnętrznym na naród, wywołał przeważne oddziaływanie przeciw antinarodowemu żywiołowi.

Lecz i człowiek i naród nie żyją wyłącznie duchowo — idealnie; a chociaż człowiek dąży ustawicznie do usamodzielnienia się w obec przyrody, wszelako nie zdoła wyłamać się absolutnie zpod jej wpływu. Zwyciężając po części naturę wiedzą ducha, człowiek przeobraża ją poniekąd według swoich moralnych i materjalnych celów, a to zwycięztwo zapewnia mu właśnie byt jego i stanowisko w świecie i w kraju. — Prawda, że spotęgowany rozwój w czysto zyskownych przedsiębiorstwach może ostatecznie sprowadzić materjalizm, bo już samo pragnienie zysku jest dźwignią materjalizmu. — Powtórzymy jednak jeszcze, że my nie mamy powodów obawiać się tego. Nasz kraj, jego geograficzne i fizyczne stosunki, jego płody, nasz dzisiejszy charakter, uświęcony dwunasto-wiekową przeszłością — wszystko ubezpiecza nas przeciw cywilizującemu zkądinąd materjalizmowi. Rolnictwo jest — że tak powiem — treścią sielskości narodowej. A chociaż i ono jest przemysłowością, wszelako ma najszczytniejsze zadanie — uzacnić człowieka, który mając z przyrodą do czynienia, łączy się przez nią z Bogiem i narodem, i tchnie jego duchem.

Nie potępiamy ryczałtem przemysłu; bo jeżeli się oprze na rolnictwie, to nie może wyrodzić zbytku z jednej, a nędzy z drugiej strony — ale owszem utrwali równowagę społeczną. Zresztą przy znacznej rozległości naszego kraju do stosunkowo nie wielkiej ludności; przy jego zasobności w naturalne płody, z których wiele dotąd nie obracano na bezpośredni użytek kraju, nie mówiąc o płodach, jakie kraj bez wątpienia w swojem łonie zawiera, a których nie umiano odkryć po dziśdzień; nadto przy wyzwoleniu pracy i zapewnieniu własności — długi czas jeszcze upłynie, zanim wyłączny przemysł będzie się mógł rozwinąć; a zachodzi pytanie, ażali to u nas kiedy w istocie nastąpi, jeżeli pójdziemy torem, jaki nam wskazują nasze rodzinne potrzeby, zwłaszcza że i w zawodzie samego rolnictwa i różnych gałęzi gospodarskiego przemysłu z nim połączonego, pozostaje wiele do wykonania. — Jakoż nie można zaprzeczyć, że wiele przedsiębiorstw rolniczo-przemysłowych, n. p. chów bydła, owiec i koni krajowej rasy, sadownictwo, leśnictwo, pszczelnictwo, nie mówiąc o innych, albo zaniedbano, albo według obcego zwyczaju w praktykę wprowadzono. — Moglibyśmy tu jeszcze nie jedno uczynić postrzeżenie, lecz inny jest zakres naszego założenia.

Gdy się więc zastanowimy nad tem, cośmy wysnuli z pobieżnego poglądu na rozwój oświaty i kultury krajowej: gdy zważymy, że elementem naszym jest rolnictwo; gdy nie zaprzeczymy, że naród istnieje nie tylko duchowo, ale i przyrodą, którą według swoich narodowych celów przeobrażać powinien; gdy pomniemy, że dla braku biegłych w zawodzie realnym ludzi, szukamy u obcych rady lub czynnej pomocy, a przez to najczęściej chybiamy celu, i przeszczepiamy obce żywioły na naszą ziemię — wtedy bez wątpienia uznamy, że tylko dokładna znajomość przyrody kraju, którego płody stanowią nasze ruchome i nieruchome bogactwo, utrwali nasz byt, a tem samem potęgę.

I tu właśnie wykazuje się wydatnie znaczenie nauk przyrodniczych i nieodbita potrzeba zaprowadzenia onych w szkole i w domu, nawet w wychowaniu płci żeńskiej, sposobiącej się do przyszłego zawodu matek i gospodyń, zwłaszcza, że te nauki trafnie do krajowej praktyki zastosowane nie tylko mają istotny powab, ale podają tysiączne sposoby godziwego zużytkowania płodów krajowych; a to właśnie uprzyjemniłoby życie i ochroniłoby nas od ubiegania się za tem co obce.

Okazaliśmy pobieżnie znaczenie oświaty humanitarnej i realnej, a ztąd występuje jak na dłoni płonność obawy zmaterjalizowania nas i zaprzepaszczenia narodowości w kosmopolityzmie. Bezzasadnem okazuje się także twierdzenie, że nauki przyrodnicze zajmują podrzędne stanowisko w rozwoju oświaty i kultury narodowej, że powstały i rozwijają się z dążeniami materjalizmu.

Poeta czerpie natchnienie pod wpływem natury i postaciuje ją w swoich ideałach, nadając im życie według indywidualnych i zbiorowych narodowych pojęć. Malarz, rzeźbiarz, architekt, mechanik i t. d., nadają swoim pracom cechę piękna, a treści nastręcza im przyroda w swej rozmaitości niewyczerpana. Filozof zagłębiający się w świecie abstrakcji, bada początku wszech rzeczy według postrzeżeń i wiadomości o danym świecie. Nawet dziejopisarz i prawodawca nie mogą pominąć stosunków przyrodniczych, według których ustalał naród swój byt polityczny i społeczny; bo wszelkie instytucje, zakłady narodowe i t. d. rozwijają się według naturalnych stosunków kraju, w którym naród osiadł, aby go dzierżył moralnie i fizycznie. Moglibyśmy bez końca prowadzić postrzeżenia, a nie zmieniłoby to zgoła wysnutego rezultatu.

Sławny *Bako z Werulamu* wyrzekł: „*Powierzchowna, płytka znajomość przyrody oddala nas od Boga, głębokie zaś o niej pojęcie zbliża nas do niego.*“ Nie jestże to tryumfem człowieka, gdy za pośrednictwem przyrodoznawstwa harmonizuje myśl, słowo i czyn z prawdami bożemi, z dążeniem narodu, kojarzy teorję z praktyką? — Nie jest to bynajmniej poniżeniem

godności jego, jeżeli zdoła odpowiedzieć i doczesnym warunkom bytu, a tem samem spełnia swoje dwoiste powołanie, t. j. i sam się usamodzielnia i swoim usamodzielniać się pomaga. Badajmyż każdą piędź ojczystej ziemi, przekazujmy nasze badania potomności, a tak zbogaceni wiedzą i doświadczeniem, znajdziemy środki podniesienia naszej duchowej i realnej potęgi.

Dodamy tu nakoniec, że jeżeliśmy nie wyczerpali założonej kwestji, przypisujemy to naszej nieudolności z jednej, a donośności przedmiotu podniesionego z drugiej strony. Dlatego poruczamy ściślejszy rozbiór myślącym czytelnikom, a jeżeli choć jeden z nich zgodzi się z nami, uważamy cel nasz za osiągnięty. „*In magnis et voluisse sat est*."

O ile przy innych naszych pracach zdołamy i Bóg użyczy zdrowia, podamy w **Czytelni** od czasu do czasu artykuły z nauk przyrodniczych, wypracowane przystępnym dla młodych czytelników sposobem.

Panię pogańskie.

Szkic historyczny

przez

Karola Cieszewskiego.

Pędzi wspaniały Dniestr szybko ku Czarnemu morzu, przerzyna polską ziemię, a ze wszech stron mnogie rzeczułki w potężne jego koryto leją wody swe. Między innemi kręta Strypa, zalotna Dniestru kochanka, połącza z nim swe wody, i piękna para płynie dalej śród malowniczych łańcuchów gór, zielonych dąbrów, czarnych lasów i dolin kwiatem zasianych.

A w miejscu, gdzie kochanków zlewają się wody, schowana pomiędzy drzewami stoi chatka budnika Ostapa. Niska, poczerniała od słoty i lat, z zapadłym ciemno-zielonym mchem obrosłym dachem, przegląda się zgarbiona w wodach grzecznej Strypy, która w swem zwierciedle pozwala kokietować staruszce.

Obok chatki, otulonej wieńcem leszczyny, stoją dwa klony wyprostowane i cieniste w towarzystwie starego dębu, co silnem swem ciałem podpierał walące się ściany chatki, w których jedynym otworem były niziutkie zaokrąglone drzwi, i małe czworograniaste okienka zalepione napuszczonym tłustością papierem.

Przyparty do chatki, tuli się do jej ścian wyprostowany, o wiele młodszy chlewek, dalej kilka pni z pszczółkami i cymbrowana studzienka z żurawiem i korytem, a na pół zwalona stodółka i kilka jabłoni dopełniają ubogiego obejścia, nieocenionego dla malarza, jako mieszkanie nie bardzo ponętnego.

Przed korytem stało w tej chwili, gdy właśnie słońce w całej swej wschodziło krasie, dwie krówek miernego wzrostu, i w zamyśleniu popijało wodę. O kilka kroków od nich wielki pies kudłaty leżał rozciągnięty na zielonej murawie i przypatrywał się im pilnie, a obok niego czubata kura grzebała niecierpliwie ziemię.

Z drzwiczek chaty wyszedł młody słuszny mężczyzna w stroju kozackim, za nim sparta na kiju postać wiekowej kobiety, ubranej dziwacznie w jaskrawe kolory. Oboje usiedli przed chatą na dębowej kłodzie.

— Nie mówcie mi więcej o cierpliwości Ołeno, bo ona już do dna wyczerpana — mówił młody Kozak prędko i ponuro — sprobujcie raz jeszcze siły waszych czarów, może wam wskażą, gdzie Hanka moja droga, o sprobujcie! Szalona wściekłość porywa mię na jej wspomnienie; gdybym wiedział, że ten dąb jest przyczyną jej śmierci, wpiłbym się w niego jak żelazna piła i rozszarpałbym własnemi zębami.

— Czytałam w zwierciedle ziół — mówiła stara powoli piszczącym tonem — i widziałam jak Hanka twoja siedzi u stóp tatarskiego księcia i płacze twej straty. Biedna, biedna Hanka!

Porwał się na te słowa Ostap, budnik i właściciel chatki, Kozak w zaciągach pana Chmieleckiego, i chwyciwszy konwulsyjnie za rękojeść szerokiej szablicy, w silnej gniótł ją dłoni. Twardy musiałby być łeb tatarski, coby nie spadł z karku za jednem cięciem szabli Ostapa.

— Matko, ja ją wyrwę z niewoli! — zawołał Ostap z odwagą rozpaczy.

— Nie wyrwiesz przemocą, bo liczne ich wojsko, jak piasek w Jatroni — odpowiedziała kiwając głową Ołena. Nakaż burzy na twej twarzy, aby się przemieniła w jasną pogodę, bo przed burzą chroni się wszelkie stworzenie.

— Trudno to matko beczeć jak jagnię, gdy się ma ochotę wyć jak wilk okrutny.

— Wilk w skórze jagnięcia jest straszny mój synu — odpowiedziała przenikliwym głosem stara.

— Prawda matko! — odpowiedział Kozak głosem stłumionym — ale trzeba wprzód ze mnie zedrzeć skórę wilczą, aby nie zdradzała wroga.

Stara Ołena, podpierając się na kiju zwróciła przyćmione oczy na mówiącego, i przypatrywała mu się chwilkę. Twarz jej w tysiączne pomarszczona fałdy ściągnęła się niby do uśmiechu, który odkrywał bezzębne jej dziąsła. Kiwając głową mówiła gniewnie i prędko:

— Czyż spi polskie rycerstwo, że nie odeprze i nie zgromi zuchwałego tatarzyna? W maju jeszcze przekroczył granicę Krymu, a odtąd piąty już upływa miesiąc, jak siejąc w około śmierć i postrach, z pochodnią zniszczenia przebiega biedny nasz kraj.

Obok, chmurny i ponury stał Ostap, i poglądał smutnie po spalonych siołach, dymiących pogorzeliskach i stratowanych niwach urodzajnej ziemi.

— Matko — zawołał po chwili — ja sam jeden uwolnię Hankę.

— Ostrożnie, ostrożnie — mówiła Ołena na wpół do siebie, na wpół do Kozaka — bo to chytry wróg. Król z wojskiem wojuje w Prusiech, a on wtedy właśnie wpada w kraje jego pomimo przymierza i przyjaźni. Oh

zdradziecki to wróg! Przeprawiwszy się przez Dniepr, poszedł wzdłuż Bohu na Bród pieszczany, niby na czarny szlak; a gdy mu zaszedł drogę p. rotmistrz Bajbuza, zawrócił się znowu niby na kuczmański szlak. Chytry to wróg, chytry to wróg!

Szybkim krokiem jął się przechadzać Ostap, nagle przystanął obok Oleny.

— Żegnam was matko; idę do obozu tatarskiego ratować moję Hankę, albo umrzeć z nią razem.

— Idź z Bogiem, mój synu — odrzekła stara żegnając go — ja tu tymczasem pilnować będę twej chaty i strzedz twego dziecięcia, jakby matka rodzona. A choć mówią o starej Olenie, że czarownica, że umyślnie mieszka w lesie i nie lubi ludzi, to nieprawda — nieprawda. Idź synu, idź! i uwolnij matkę twego dziecięcia, co ci ją porwali Tatarzy.

Ostap poszedł do chatki, ucałował spiące w koszu dziecko, polecił go raz jeszcze opiece Oleny i znikł niebawem z oczu staruszki.

W namiocie Islama Giraja, brata tatarskiego chana, ciemno i cicho. Spoczywa wódz tatarski na złotych wezgłowiach, ale nie spi, tylko myślom swoim puścił bieg dowolny. Podparł głowę na rękach, i nieruchomy patrzy w kąt namiotu.

Czy marzy? Najeżdzca tatarski na polskiej marzy ziemi? Czy przeszłość przypomina sobie? — Jak dla zahartowania skóry matka w słonej kąpała go wodzie? jak pod gołem sypiać kazano mu niebem? jak w ósmym już roku darowanym łukiem musiał sam szukać pożywienia dla siebie, a w dwunastym, wyruszywszy na wojnę, pierwszą wypuścił strzałę w nienawistną twarz chrześćjanina?

Czy może przyszłość zarysowała mu się przed oczyma? Jak z dziką hordą żyzne zalewa kraje, łupi i rabuje kościoły i dwory, morduje bezbronne starce, pędzi w jasyr męże, kobiety i dzieci? Czy dolatuje go kadzidłem ciepła jeszcze krew chrześcjańska i dźwięczy mu w uszach jęk mordowanych?

Lecz nie. Zdjął czapkę futrzaną, odrzucił długie włosy, co do ócz mu się cisną, i przechodzi myślą wojenną wyprawę swoję.

Skoro Dżanibeg-Giraj, chan panujący, przysłany, mu od sułtana miecz odebrał w podarku, ucałowawszy go z przynależnem uszanowaniem zwołał braci swoich Dewlet Giraja, który był Kałgaj-sułtanem czyli namiestnikiem chańskim, Islam Giraja wiekiem średniego, i najmłodszego Salamet Giraja, jakoteż mirzę Kantymira, doświadczonego i chrześcjanom strasznego wojownika, i w te do nich odezwał się słowa:

— Sułtan, pan nasz wspaniały, namiestnik boży, schmurzył oblicze swe na sąsiednią a nienawistną mu Polskę i przysłał mi miecz ostry na znak, abym wojował jej kraje. Najpodlejszy z niewolników jasnych drzwi szczęśliwości spełniam jego rozkazy. Weźcie 20.000 wojska mego, zalejcie polskie kraje, zniszczcie co się da zniszczyć, zrabujcie co się da zrabować, i z licznymi jeńcami i bogatą zdobyczą wracajcie napowrót do stóp mych, nim was pierwszy zaskoczy mróz.

Posłuszni rozkazowi bracia kornie schylili głowy i odeszli. A nim jeszcze księżyc przemienił się na niebie, zwołany liczny poczet zbrojnych Tatarów czekał na rozkazy wodza. Każdy z nich miał szablę przy boku, kołczan strzał pełny, łuk przygotowany, a niektórzy strzelby, u pasa nóż, kilka łokci powrózków rzemiennych u siodła dla wiązania jeńców, w kieszeni krzesiwo, szydło i małą busolę norymberską dla kierowania się pośród bezdrożnych stepów. Każdy z nich miał także po dwa konie, do podróży gotowe; małe stepu dzieci, z długiemi szorstkiemi grzywami i ogonami aż po ziemi się wlokącemi, niekształtne i brzydkie, ale szybkonogie i wytrwałe, jak na pół dzicy ich panowie.

Skoczył na koń Dewlet Giraj i stanął na czele; w koło Gałgi bracia i najznakomitsi mirzowie. Dał znak do pochodu i ciemną chmurą wyruszyła czerń tatarska na zniszczenie lechickiej ziemi.

Gdy się zbliżyli do granicy polskiej, wódz podzielił swe wojsko na 20 części, każdą o 1000 ludzi, i wysłał naprzód połowę.

— Każdy oddział niechaj w inną wyrusza stronę — nakazywał Dewlet Giraj — pilnie się rozglądając i rabując co można po drodze. Nie oddalajcie się jednak daleko od siebie i trzymajcie się rzeczek i strumieni, a trzeciego dnia, jak promienie do słońca, w jeden wszyscy zbiegniejcie się punkt.

— Uważajcie na wysoką trawę stepu — dodał doświadczony w bojach dziki Kantymir — aby jej nie stratować w jednem miejscu i niezostawić po sobie śladu, którymby ściągnął na was nieprzyjaciela. Każdy pojedynczy oddział niechaj na drobniejsze o 250 ludzi rozdzieli się podziały; jedna część z tego niechaj idzie na wschód, druga na południe, trzecia na północ, a czwarta na zachód. Z tych oddziałów każdy ujechawszy półtora mili znowu na cztery niechaj się dzieli części, z których jedna ruszy na wschód, druga na południe, trzecia na północ, a czwarta na zachód, a przebywszy dalsze półtora mili znowu toż samo powtórzycie i tak długo, póki was nie będzie tylko 10 lub 11 w hufcu. Jedźcie sporym kłusem, a postrzeżony, każdy hufiec niechaj uciekając kieruje się ku miejscu zebrania; tem zbałamucicie ścigających was nieprzyjaciół, tak że nie będą wiedzieli, w którą was gonić stronę. A gdzie znajdziecie dostatek paszy i wody, odpocznijcie i znowu w dalszą ruszajcie drogę.

— Starajcie się także zawsze w pochodzie mieć słońce z tyłu — dorzucił Dewlet Giraj, głaszcząc szorstką brodę i mile spoglądając na hufiec ochotny. — A gdy was Polacy nadybią i złamią, nie probujcie oprzeć się im szablami, bo to na próżno; tylko rozlećcie się jak kłąb rozbitych komarów, każdy w swoję stronę, i pilnie odstrzeliwajcie się z łuków. Potem znowu się łączcie, uderzajcie i znowu rozpraszajcie, bo tym sposobem unużycie nieprzyjaciela, który nie ma koni tak szybkich, aby was mógł gonić, a sami uratujecie się ucieczką. Tobie

Islamie — dodał obracając się do brata — poruczam dowództwo tego oddziału; ja z drugą połową niebawem za wami wyruszę.

Stanął tedy Islam-Giraj na czele poruczonego mu wojska i zbliżał się ku granicom polskim czarnym szlakiem; a przekroczywszy je, zbliżył się pod Humań, osadę panów Kalinowskich, i stanął koszem nad rzeką Jatronią, 21. maja 1629 roku, niszcząc i paląc okoliczne futory, i zabierając jeńców i zdobycz.

Księżyc zaświecił w tej chwili przez otwór namiotu i jasnym promieniem oświetlił postać tatarskiego wodza. Wstrząsł Islam zaspaną głową, wstał i wyszedł z namiotu.

Namiot ten stał odosobniony, pod wysokim dębem. Na jego czubie w blasku księżyca dumnie jaśniał półksiężyc, w około stały przygotowane konie, opodal szumiała rzeczułka, w wieńce wierzb zielonych jakby w kryzy strojna.

A opodal przy ognisku bankietują Tatarzy i weselą się, białe szczerząc zęby. Koń zdechły dostarczył im mięsnego przysmaku; krwią z niego rozrabiają po drodze zrabowaną mąkę i w glinianem gotują naczyniu; w popiele pieką małe placuszki, a brahą, wodą syconą z gotowanego prosa, twarde swe upajają łby.

Gdy nocny nasz wędrowiec przybliżył się do nich, chyląc głowami ucałowali brzeg szaty jego, i uczcili chańskiego brata czarą pełną kobylego mleka i najtłuściejszym kęsem mięsiwa.

Obojętnie odwrócił się Islam i szedł dalej, poglądając na szeroko rozłożony kosz tatarski. Po lewej leżała wieś Kobelnica, po prawej rozciągał się obóz, a ludzi w nim jak mrowia. Trzech sułtanów dowodzi licznem wojskiem tatarskiem: zwycięski Salamet Giraj, Islam Giraj i Setew Giraj, i dwóch Baterbejowych synów, a z nimi Welisza-mirza, synowiec Kantymira.

Cicho było w obozie — tylko w miejscu, gdzie spędzeni jak bydło jeńcy srogiego oczekują losu, słychać przytłumiony płacz i jęki żałośne. — A między jeńcami płakała i Hanka, żona Ostapa.

Nocną ciszę przerwał powstały nagle krzyk w obozie. Mnóstwo Tatarów pędziło przed sobą słusznego ponurego lica Kozaka, którego złapano na podsłuchach, a teraz prowadzono ku namiotom sułtanów. Wyszli z namiotu zbudzeni ze snu Salamet Giraj i dziki Kantymira synowiec Welisza-mirza, nadszedł i Islam, i jęli wybadywać jeńca, czy liczne jest wojsko polskie i czy go niema w pobliżu.

Kozak— znajomy nasz Ostap— na wszystkie zapytania odpowiadał ponurem milczeniem, i próżne były wszelkie wybadywania i groźby. Zacięty Kozak nie rzekł ani słowa.

— Zaraz ty nam wyśpiewasz więcej, nocny ptaszku — roześmiał się dziko mirza Welisza, i jął ciche wydawać rozkazy.

Po krótkiej chwili ukazało się kilku tatarów z palącem łuczywem w rękach. Obnażono Kozaka i poczęto mu palić piersi i pięty. Tatarzy przypatrywali się temu z widoczną rozkoszą i białe szczerzyli zęby — a czerwone płomyki gorejących smolnych pochodni krwawym oświetlały ich blaskiem.

Lecz napróżno wysilała się złość ludzka — nie przełamała stałości męża. Ostap raz powiedział, że wojska polskiego nie ma w pobliżu, i nie rzekł więcej ni słowa. W pośród najsroższych mąk dotrwał w ponurem milczeniu, a rysy jego przybrały wyraz dzikiej nienawiści, który jakby marmurem zastygł na nieruchomej twarzy, bo ani drgnął, ani jeden jęk bolu nie wyszedł z zaciśniętych ust jego. Oczy tylko rozwarły się szeroko, i z okropną na męczących go wrogów zwróciły się groźbą.

(D. c. n.)

ROZMAITOŚCI.

— Od marca zaczyna we Lwowie wychodzić nowe pismo czasowe, pod nazwą **Kółko rodzinne**. Znakomite imiona współpracowników, dotychczas wymienionych, są rękojmią wartości pisma, które zapewne w krótkim czasie zyska sobie rozgłos w kraju i sympatję światłej publiczności. Z serdeczną radością przychodzi nam witać to co raz bardziej rozbudzające się u nas życie umysłowe, jutrzeńkę lepszej przyszłości, na które każdy dobrze myślący i dobro kraju na oku mający spogląda z nadzieją — nie ma bowiem wątpliwości, że gdy publiczność nasza cokolwiek więcej przywyknie do czytania pisarzów własnych, gdy zaprzestanie znaczne sumy wydawać na dzienniki i książki zagraniczne, zrodzi się potrzeba nie jednego jeszcze pisma krajowego, które zawsze są i będą objawem życia narodu. Redaktorami nowego czasopisma są pp. *Jan Zacharjasiewicz* i *Alexander Szedler*.

— Dnia 7 lutego o godzinie 6 rano, umarł w Paryżu **Karol Sienkiewicz**, tknięty apopleksją. — Smutno i tęskno w duszy— mówi Czas — donosząc o śmierci tego znakomitego pisarza, kiedy wzrok pada na całun żałobny, kiedy nad grobem przyjaciela ostatniem naszem pożegnaniem, ostatnim upominkiem, jest garść rzuconej ziemi na mogiłę, a z piersi wyrywające się westchnienie przypomina tyle już strat niepowrotnych, tyle grobów, któremiśmy naznaczyli długą wędrówkę naszą po świecie. *Gałęź po gałęzi pada*, i z owego niegdyś zielonego gaju cóż kiedyś z rozkwitającą wiosną zostanie?...

Znakomite i nader ważne są historyczne prace Sienkiewicza, którego krótką biografję podamy w następnym numerze; tymczasem cześć i wspomnienie znakomitemu mężowi, który był dla nas wzorem cnót obywatelskich, którego pisma, rady i powierne rozmowy budziły zawsze w sercach i umysłach chęci i zamiary, wiodące ku jednemu celowi, ku nieustannemu frasunkowi, aby zrozumieć, co na dziś jest i być powinno obowiązkiem każdego.

— Umarł w mieście naszem temi dniami, tknięty apopleksją **Julian Kamiński**, archiwista przy Zakładzie Ossolińskich, czas jakiś wydawca *Skarbca*. Ceniliśmy tu wszyscy jego prawość charakteru, zacność i chęci poczciwe, to też nadzwyczajnie liczny był poczet, odprowadzający do grobu zwłoki zmarłego, które niesiono aż na cmentarz.

Wydawca i redaktor odpowiedzialny: Karol Cieszewski. W drukarni Kornela Pillera.